



Zajęcie dla sądów.

Mamy tylko dwa wyjścia: albo przepędzić orkiestrę, albo umrzeć z przetańczenia. Można też wyjść w diabły z remizy...

Mamy tylko dwa wyjścia: albo przepędzić orkiestrę, albo umrzeć z przetańczenia. Można też wyjść w diabły z remizy...

Zajęcie dla sądów.

Ścisłe biorąc, dla nie jednego. Dla ładnych kilku sądów rejonowych. Gdybym był na tyle głupi, żeby głośno mówić o niektórych to, co myślę. Wtedy te sądy w liczbie ładnych kilku musiałyby pracować po 24 godziny na każdziuteńką dobę, by jako tako się wyrobić. Pod warunkiem, że nie wnosiłbym żadnej apelacji i godziłbym się z wszystkim, jak leci. Jasne, że nie godziłbym się, więc tę robotę należałoby pomnożyć, lekko licząc, przez dwa.

A gdyby się wydarzyło, jak już miało to miejsce dwa razy, że sprawę tak zwanej szkody komunikacyjnej roztrząsałaby sędzina bez prawa jazdy – wtedy całkiem bym się spieniał i rzecz by musiała przejść nawet przez trzy instancje. Tak się dobrze złożyło, że w tych instancjach sędziowie mieli prawa jazdy, więc jakoś to się obyło. Znaczy, bez trzeciej instancji.

No więc, ponieważ mam samarytańską litość nad sądami, spieniam się dość skąpo, jak ixi najnowszej generacji. Chronię tym pracę sądów oraz własny spokój, bo do tego spokoju przywiązuję wagę przede wszystkim. Nie dziwcie się, spokój to grunt!



Co prawda, gruntowny spokój to wyłącznie domena nieboszczyków, choć też nie do końca, co się ostatnio okazało. Dobitnie się okazało. Tak, tak – być nieboszczykiem, wcale nie musi oznaczać gruntownego spokoju. Szczegółami nie zamierzam się zajmować.

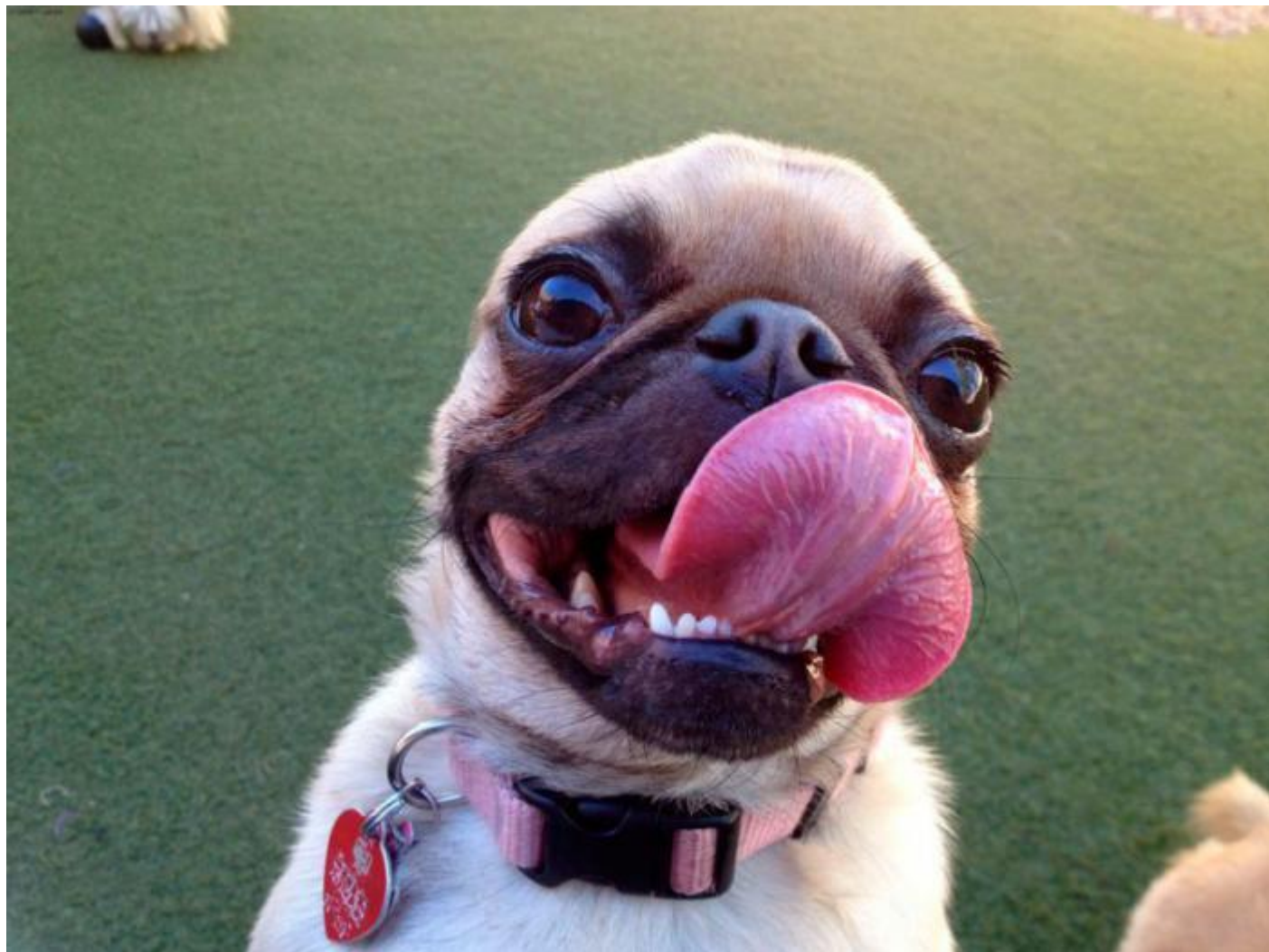
Chodzi raczej o tę pracę sądów, której im oszczędzam. Domyślam się, że sam też sporo oszczędzam, bo każde ogłoszenie w tivi to horrendalne pieniądze. Zresztą nie tylko, co zainteresowani doskonale wiedzą. Na wszelki wypadek też to wiem. Bardzo wiele rzeczy wiem na wszelki wypadek. Już pisałem, że jestem człek ostrożny.

Mówienie o ludziach tego, co się o nich myśli, zawsze było interesem kiepskim, nawet w czasach niesłychanie bogobojnych. Ludzie już tacy są, że Boga boją się znacznie mniej, niżeli tego, co mówią o nich inni. Rzecz jasna, zwracają też większą na to uwagę, niż na Pana Boga. Żle o kimś mówić, znaczy ryzykować jak jasna cholera. Wprawdzie zdarzają się bohaterowie, jak ten co nie tak dawno skoczył z 30 kilometrów, a przedtem obił pysk w obronie cudzej racji pewnemu szoferowi – ale jaki z tego wniosek? Okazało się, że łatwiej było skoczyć z tych 30 kilometrów. No bo za obicie pyska facio tak czy owak musiał wykupić przeprosiny w tivi i chyba nie tylko. Znaczy, tam sądy są zapracowane.

Dlatego sam wolę o ludziach myśleć, bo to nie boli. Choć czasami od tego myślenia fajerki mi się nadto rozgrzewają, sprawa jest bezpieczna. Względnie. Myśleć też można o kimś tak, że temu komuś wszystko z rąk wylatuje.

Weźmy sprawę żon, tak dla przykładu. Czyż trzeba się z żonami kłócić? Albo, nie daj Boże, rękę na nie unosić? Wystarczy milczeć i myśleć o nich źle. Tego żadna żona nie

wytrzyma, żeby nie wiem co. Osobiście sprawdziłem. Dwa razy nawet.



Co prawda, w odniesieniu do nie-żony, to nie próbowałem. Jako człowiek ostrożny, nie chciałem ryzykować. Wobec nie-żony takie chwytły są pozbawione sensu, mianowicie z natury samej rzeczy. Chodzi o to, że nie-żona może zawsze ci odmówić, w najbardziej decydującej chwili, i nawet piwa ci nie zasponsoruje. I co wtedy zrobisz? Nie zachowasz się chyba jak męska szowinistyczna świnia, choćby cię ręce nie wiem jak swędziły.

Wracając do tego mówienia, to czasem tak jest, że nie sposób nie mówić. Po prostu słowa same człękowi do gęby się pchają, wyłażą całkiem tak, jak to kiedyś bywało z meldunkami agentów „bez ich wiedzy i woli”. Za to z ich pełną akceptacją, o czym się jakoś nie wspomina. Więc te słowa, one wyłażą same, bez żadnego zaproszenia, „z obfitości serca” – jak określił jeden poeta. Bieda na tym polega, że z reguły nie są to słowa ani poetyckie, ani nawet serdeczne, więc nie wiem, dlaczego poetę zainteresowały. Poeci też czasami uwielbiają zmyłki.

No więc, te wyłażące słowa, one są niebezpieczne w stopniu skrajnym. Dlatego tak wielu z nas owszem, używa tych słów, ale za żadne skarby nie poda ich adresatów. Nie poda, choć zasadniczy smak tych słów polega właśnie na tym, żeby adresy podać. Samozachowawczy instynkt, ot co.

Ile na tym tracimy, na smaku znaczy, wolę się nie wgłębiać. Ważniejsze jest, byśmy wiedzieli zawsze, skąd wieje wiatr.

Ale żal serce ściska na wspomnienie tego, co kiedyś można było całkiem bezkarnie powiedzieć i nawet napisać o samym panu prezydencie na przykład, albo o jego przydupasach (z tym, to już wybiórczo i ostrożnie). Zresztą, sami to wiecie. A już nie daj Boże napisać coś naprawdę od serca na temat meczetów, imigrantów, albo innych ludzi barwnych, co to chodzą na rozmaite „manify”, żeby móc się na nas wypinać wszelkimi sposobami – bo wypinać się na nich, to święcie zabronione. Pod sądowym hajrem właśnie.



Tak nawiasem, najlepiej do tego przystosowani są politycy. Bo oni nie tylko nie mówią tego, co myślą – oni w ogóle nie myślą. Są tacy, którzy myślą za nich. Z kolei o ich myśleniu, nawet istnieniu, zwykli ludzie opowiadają same bajki. Jak, nie przymierzając, kreacjoniści i ateusze o stworzycielu świata.

A przecież musi ktoś tym politykom do łbów myśli wkładać! To nie jest wcale tak, że te myśli biorą się z niczego. Tak można myśleć o początku świata, owszem, co się komu podoba, ale myśleć niezgodnie z linią – na to nie pozwoli sobie żaden polityk. I tyle na ten temat.

Jeszcze dodam, że bardzo chce mi się śmiać na wspomnienie takich jak najbardziej prawdziwych czasów, kiedy politycy prawie szczerze mówili o tym, co myślą, a wyborcy

ich wybierali prawie zgodnie ze sumieniem. Naprawdę, takie czasy kiedyś były. Ale prymityw, co?

Na razie, póki to nie jest jeszcze wzbronione, chociaż ryzykowne już od bardzo dawna, napiszę wam prawdę o tym, kiedy skończono z tym prymitywem. Chociaż, może i sami to wiecie, albo się domyślacie. To nie jest ani takie trudne, ani tajne, jakby co.

To się wtedy stało, gdy wymyślono partie. I nigdy się nie skończy, dopóki istnieje choćby jedna partia. Szczególnie, kiedy istnieje tylko jedna. Albo takie zbiorowisko partii, których nie sposób odróżnić. One wszystkie tańczą tak samo, bo gra im ta sama orkiestra. Rzecz odbywa się, oczywiście, w tej samej remizie.

Mamy tylko dwa wyjścia: albo przepędzić orkiestrę – albo umrzeć z przetańczenia.

Można też wyjść w diabły z remizy...

Poniektórzy już się po kątach zmawiają, ale nie całkiem wiadomo, czy chcą przepędzić tę cholerną orkiestrę, czy może chcą, żeby zagrała coś innego. Bo my tańczymy, jak się to mówi, „na ostatnich nogach”. Prawdę pisząc, to już się jakby słaniamy.

A kto wymyślił te partie? Oczywiście, że Amerykanie, bo oni wszystko wymyślają.

Gdzieś już napisałem, że bez Ameryki to by w ogóle cywilizacji nie było, najwyżej chińska. Ale co to za cywilizacja, oparta na psiej pieczeni i robakach? Proch i papier to jeszcze nie wszystko.

Więc partie wymyślili Amerykanie. Ale co to były za partie! Aż śmiech powiedzieć, bo to były raczej towarzystwa wzajemnej adoracji, nie partie. Niby się owszem, spotykali, kłaniali, bon ton, savoir vivre, pardon. Wcale nie jestem do końca przekonany, że to w ogóle były partie.



Pierwszą partię z prawdziwego zdarzenia stworzyli bolszewicy.

I na tym stwierdzeniu można byłoby sprawę zakończyć. Po pierwsze dlatego, że o bolszewikach wszyscy wszystko wiedzą (albo tak im się wydaje), po drugie dlatego, że odtąd wszystkie inne partie robią, co tylko możliwe, aby tej bolszewickiej doskonałości dorównać. Ale, prawdę pisząc, nie dorównała jej nawet NSDAP. O makaroniarzach nie warto wspominać.

To jest właśnie ta sprawa, która nas podtrzymuje w tańcu. Jeszcze jeden obrót, jeszcze jeden i jeszcze. O cholera, z przytupem? No dobra, damy radę, bo przecież było gorzej, było znacznie gorzej, a przecież daliśmy radę. Daliśmy radę, cholera, daliśmy, daliśmy, daliśmy....

